

MARGINESY



Spalone mosty



EILEEN CURTRIGHT

Spalone mosty

~

EILEEN CURTRIGHT

PRZEŁOŻYŁA
Dorota Konowrocka-Sawa

MARGINESY

Dla Lance'a

The Burned Bridges of Ward, Nebraska

COPYRIGHT © 2015 BY Eileen Curtright

Published by arrangement with Macadamia Literary Agency
and Curtis Brown, Ltd.

The moral rights of the author have been asserted.

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Dorota Konowrocka-Sawa

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY Wydawnictwo Marginesy,

WARSZAWA 2017

Opanowała mnie nagle szaleńcza chęć wytarzania się w gigantycznej stercie pieniędzy – moich zakumulowanych przyszłych przychodach – i może nawet zmysłowego pomasowania sobie banknotami odsłoniętego ciała, którego nie było tak znowu dużo, bo nadal byłam ubrana w lawendową odzież medyczną. Ponieważ jednak miałam przy sobie zaledwie dwa dwudziestodolarowe banknoty i dziecko szukające we mnie wzorca do naśladowania, powstrzymałam się i popchnęłam wózek dalej alejkami miejscowego supermarketu, podczas gdy mój syn truchtał obok, próbując nadążyć. Wieści szybko się rozchodziły. Zanim dotarłam do naszego ostatniego przystanku – alejka ósma, ciastka i przekąski – pogratulowano mi dwukrotnie. Zamiast skromnie umniejszyć swoje osiągnięcie („Och, to naprawdę nic wielkiego” – spuszczone wzrok, nieśmiały uśmiech), z rozkoszą pławiłam się w podziwie. Nie mogłam się opanować. Zachowywałam się tak, jakby sukces był mi należny z urodzenia. Krótko mówiąc: zachowywałam się jak mężczyzna. No i wyszłam na zarozumialca. Ale w obliczu mojej niepowstrzymanej radości normy społeczne na krótką chwilę przestały mieć jakiegokolwiek znaczenie.

Dziecko jak zwykle znakomicie odczytało mój nastrój.

– Co powiesz na to? – zapytało, wybierając z półki wyjątkowo odrażające ciasteczka.

BOMBY CZEKOLADOWE! – wrzeszczało pudełko. – „Teraz z pełnym ziarnem”. Pełne ziarno było listkiem figowym kryjącym listę składników podejrzenie często kończących się na „-nian” i „-ek -anu”.

– Jasne, nie żałuj sobie – powiedziałam. – Wrzucaj.

Pocałowałam Mitchella w czubek głowy, a on nawet nie pisnął, choć przecież zza sterty puszek fasolki po bretońsku mógł w każdej chwili wychynąć jeden z jego kolegów z piątej klasy, stając się świadkiem tego żenującego pokazu matczy-nych uczuć. Reputacja mojego syna mogła zostać nadszarpnięta. Przygładził włosy w miejscu, gdzie zmierzwiłam je ustami.

– No to mamy już wszystko – stwierdziłam.

Podjechaliśmy do kasy ekspresowej obsługiwanej przez Shane’a Glassa, podstarzałego kasjera o aparycji niegrzecznego chłopca, i wyjęliśmy z wózka osiem butelek wina i jedno opakowanie ciasteczek. Nie przestawałam się uśmiechać, kiedy chardonnay i rozmaite gatunki czerwonego wina podskakiwały na taśmie. Shane spojrzał na wina, a potem na mnie, badając uważnie wzrokiem moją fizjonomię, jakbym odsłaniała właśnie jakieś nieznane mu dotąd oblicze. Wydawał się zaintrygowany możliwością ukrywania się pod moją medyczną bluzą osoby żywiącej jakieś uczucia. A w każdym razie lubiącej się zabawić.

– A co to za okazja? – zapytał.

– Impreza u mojej siostry. Zostałam partnerem w klinice.

– Super – powiedział Shane. Wokół ramienia miał wytatuowany drut kolczasty, wyraźnie dawał bliźnim do zrozumienia, że ma ich w dupie. Zazdrościłam mu stosunku do życia, ale wybrałam inną drogę.

– Teraz mogę mieć tylko nadzieję, że nie skrewię – dodałam, krzyżując palce na szczęście i puszczając oko, co było próbą stosownego w przypadku kobiety pomniejszenia własnych zasług. Sądząc z konsternacji malującej się na jego twarzy, próba wypadła nędznie, w głębi ducha bowiem morderczym kopnięciem wbijałam właśnie piłkę do bramki, zaś Shane nie wybiegł myślami poza imprezę. Teraz skanował butelki jedną po drugiej. Jeszcze wczoraj kupowanie ośmiu butelek wina zakrawałoby na desperację, ale dzisiaj wydawało się po prostu wyrazem wspaniałomyślnego radości i ochoty do zabawy. Planowałam dokonywać tego rodzaju impulsywnych zakupów częściej; teraz, kiedy już miałam pieniądze i udziały w najlepszej klinice leczenia niepłodności w stanie Nebraska.

– Twoja siostra mieszka niedaleko Sosnowego Zakątka? – zapytał Shane.

– Tak. Ale będzie tylko kilka osób z rodziny. Czysty spontan.

– Łapię.

Zapakował butelki do dyskretnych papierowych torebek. Jedną z nich podałam Mitchellowi. Kiedy wyszliśmy na parking, minęła nas pędem Viola Holts na swoim elektrycznym wózku.

Ktoś powinien uprzedzić obsługę sklepu, zanim Viola nappcha sobie lukrowanych pączków do kieszeni podomki, ale byłam zbyt rozradowana, by stawać na drodze do czyjegoes szczęścia. Niech sobie ostatni raz poszaleje.

Za Violą nadbiegł Kevin, jej syn. Dostrzegł nas kątem oka i zatrzymał się, po czym się odwrócił, rozdziawił usta i wbił w nas osłupiałe spojrzenie niczym praworządny obywatel, który przypadkiem znalazł się na miejscu zbrodni. Nie widzieliśmy się od ponad dziesięciu lat.

– Kevin!

To było nie tyle powitanie, ile mimowolny okrzyk, który mi się wyrwał, jakbym znalazła moszczącego się w moim bucie skorpiona. Mitchell przysunął się ukradkiem bliżej mnie, nie mając chyba pewności, czy ten na oko czterdziestoletni mężczyzna w nieczęstej o tej porze roku wiatrówce jest kimś, kogo powinien się obawiać.

– Cześć – powiedział Kevin. – Rebecca – dodał, jakby potrzebował chwili na wydobywanie z pamięci. Był szczuplejszy, niż go zapamiętałam, właściwie przypominał na wpół zagłodzonego maratończyka.

– To jest Mitchell – odparłam, gdy nie przestawał się w nas wpatrywać.

– Kevin Holts – przedstawił się. Kiedy uścisnęli sobie dłonie, zadźwięczały butelki w siatce Mitchella.

– Na długo przyjechałeś do miasta? – zapytałam.

– Na czas nieokreślony – odpowiedział Kevin.

Nie było potrzeby pytać, co sprowadziło go tutaj z Zachodniego Wybrzeża, gdzie budował Crucible, jedną z tych zmieniających paradygmaty firm technologicznych, które stawiają sobie za cel płynną integrację czegoś tam z czymś zupełnie innym. Powód jego powrotu mknął już bez opamiętania alejkami sklepu, nie zwracając najmniejszej uwagi na bezpieczeństwo publiczne. W kwestii Violi Holts coś wreszcie należało zrobić. Kevin chyba raptownie sobie o tym przypomniął, bo bez słowa pobiegł na halę supermarketu.

– Kogo właściwie zaprosiłaś? – zapytał Ben, kiedy z Mitchelllem ustawiałam butelki wina na kuchennym blacie.

Mój szwagier ubrany w fartuch z napisem „Kuchnia taty, nieżnośnie gorąca” powitał nas niedźwiedzim uściskiem. Z podwórka napływał do kuchni uroczysty zapach propanu,

a na kuchennych kinkietach ktoś zamotał serpentyny. Pod plastikowym przykryciem ociekał krwią talerz surowych steków.

– Nikogo – odpowiedziałam, robiąc w lodówce miejsce na białe wino. Podczas imprez i uroczystości organizowanych przez moją siostrę pełniłam zwykle funkcję starej ciotki, gościa oczekiwanego, lecz niezaliczającego się do ścisłego kręgu domowników. Dzisiejszy wieczór należał jednak wyłącznie do mnie.

Madge odkorkowała najbliższą stojącą butelkę i nalała wina do dwóch kieliszków. Przyszła prosto z biura i wciąż jeszcze miała na sobie swój sztandarowy czerwony spodniom i pióro kulkowe wetknięte w ciemny kok.

– Gratulacje, Becky. To... fantastyczne – powiedziała, stukając się ze mną kieliszkiem. – Ciężko na to zapracowałaś.

Madge potrafi płakać na zawołanie, zwykle podczas rekapitulacji argumentów stron, ale tym razem jej zwilgotniałe spojrzenie wydawało się szczere.

Wychyliłam łyk najlepszego wina dostępnego w miejscowym supermarkecie i zastanowiłam się nad przebiegiem własnej kariery, na którą składały się dziesiątki godzin, jakie Mitchell musiał przeżyć z opiekunkami – część z tych kobiet matkowała mu radośnie, a część omiatała go nieobecny, choć przypuszczalnie nieznarkotyzowanym spojrzeniem. „Rozkoszuj się tymi chwilami!” – tak brzmiała jednogłośnie rada wszystkich starszych mieszkańców miasta, o którą wcale nie prosiłam, potykając się półprzytomna z niewyspania i targając na biodrze swoje szczupłe, poważne niemowlę, a później pchając w wózek swoje pochmurne dziecko. Czymkolwiek było nierozkoszowanie się każdą chwilą, tym właśnie się zajmowałam. Wlekłam się ku przyszłości, a teraźniejszość przeciekała mi przez palce. Nim się obejrzałam, mój syn był już niewytłumaczalnie wysoki i dojrzały.

– No to co planujesz dalej? – zapytał Ben.

Niewiarygodne. Przełknęłam jeden łyk odświętnego wina.

Madge zerknęła na Mitchella, który stał obok mnie, zjadając jedno ze swoich neurotoksycznych pełnoziarnistych ciasteczek.

– Zaprojektujesz sobie kolejne dziecko?

– Jest to jakiś pomysł – odpowiedziałam z uśmiechem, jakby ta uwaga była absolutnie na miejscu. Moim najwcześniejszym wspomnieniem była walka z siostrą o chabrową kredkę. Zapamiętałam z tego sporu smak jej łydki, w którą wgryzałam się mleczakami, i fakt, że obie straciłyśmy nieco włosów. Nie potrafiłam sobie natomiast przypomnieć, komu ostatecznie dostała się kredka, co zapewne oznaczało, że nie mnie.

Z kieliszkiem wina w ręce poszłam za Benem i Madge na patio, wypychając Mitchella za drzwi z siatką i kierując go w stronę kuzynów. Mój syn z natury wołał klimatyzację i towarzystwo dorosłych, a tymczasem moi siostrzeńcy, Ethan i Aidan, pochylali się właśnie nad chodnikiem i przysmażali mrówki szkłem powiększającym. Burknęli coś do niego na powitanie, a on usiadł obok nich, popijając mleko ze szklanki i z rezygnacją godząc się na kolejny wieczór w ich towarzystwie.

– Nie ucieszyłbyś się, Mitchell? – zapytała Madge, wskazując na swoich synów, którzy przy różnicy wieku wynoszącej osiemnaście miesięcy stanowili idealny tandem solidnie zbudowanych, ciemnowłosych dzieci, w obecności dorosłych mogących uchodzić za niemowcy. Ich zamięłowanie do przemocy powinno zapalić czerwoną lampkę w umyśle matki tak zaznajomionej ze sposobem rozumowania kryminalistów, ale Madge widziała tylko braterską miłość, której Mitchellowi do tej pory odmawiano.

– Ale z czego? – zdziwił się Mitchell. Patrzył na swoich kuzynów w taki sam sposób, w jaki oni przyglądali się skwierczącym mrówkom. Był od nich tak różny, tak różny pod każdym względem od nas wszystkich, że na rodzinnych zdjęciach wyglądał jak ktoś, kto wskoczył w kadr dla żartu. Odziedziczył wiele cech po swoim ojcu (tak w każdym razie zakładaliśmy, jak podkreślała Madge), anonimowym geniuszu, który pracował w programie badań kosmicznych i nie miał w wywiadzie chorób serca. Mitchell wyglądał jak igła ze stopami, do tego miał ni to rude, ni to brązowe włosy i błękitne żyłki rysujące się zawsze wyraźnie pod bladą skórą. W wieku dziesięciu lat był już w pełni pogodzony z historią swojego pochodzenia. Został powołany do życia w moim laboratorium, w absolutnie sterylnych warunkach, przy użyciu najlepszej dostępnej na rynku spermy. Moi rodzice zajmujący apartament na wolnej od zimy Florydzie uznawali to za tragedię, zaś Madge oburzała się, że to forma oszustwa. Jej naturalnie poczęci chłopcy nie zbliżali się nawet ilorazem inteligencji do Mitchella. Dla samego Mitchella było to jednak po prostu nieco mniej obrzydliwe niż alternatywa.

– Małego braciszka albo siostrzyczki – powiedziała Madge. Głos jej złagodniał, kiedy wyobraziła sobie wysokowydajne, zaprojektowane zgodnie ze specyfikacją rodzeństwo dla Mitchella. – Możesz dostać więcej, prawda? – To pytanie zostało skierowane do mnie.

– Madge, no naprawdę – zachnął się Ben, rozkładając steki na grillu. Szczera, otwarta dyskusja o reprodukcji, w której element męski zredukowano do słomki bezrozumnej spermy, odbierała mu pewność siebie jako mężczyźnie i ojcu. Zaczerwienił się nad stekami.

– Dobrze pytanie – zamyśliłam się.

Zastanawiałam się, czy nie powiedzieć im, że mój dawca wypadł już z obiegu, a zatem Mitchellowi przeznaczone jest pozostać jedynakiem, ale to tylko przeciągnęłoby niepotrzebnie tę rozmowę. Skupiłam się na winie i czekałam, aż temat umrze śmiercią naturalną. Mrówki zwijały się w małe uni-cestwione kulki, kiedy moi siostrzeńcy, okiełznawszy potęgę słońca, zaprzęgli je do własnych celów.

– Tak naprawdę chciałbym dostać phantoma – wyznał Mitchell, mając na myśli niedorzecznie drogi dron rekreacyjny, dla którego dziesięcioletni chłopiec nie miał prawa znaleźć żadnego uzasadnionego zastosowania. Obsesyjnie, niemal romantycznie pragnął tego latającego śmiecia służącego amatorskiemu szpiegostwu. Z poświęceniem godnym szczególnie zaciętego stalkera gromadził zdjęcia i przypadkowe informacje na jego temat. Rozwiewanie marzeń jest najmniej przyjemnym elementem macierzyństwa, więc zaoponowałam z powodów finansowych, co postawiło mnie w bardzo niezręcznej sytuacji, bo leczenie niepłodności słusznie określa się mianem dojnej krowy specjalności medycznych. Mnie i Mitchella czeka w przyszłości trudna rozmowa, w której wyjaśnię mu, że nigdy nie miałam zamiaru kupować mu latającego robota naruszającego granice ludzkiej prywatności, który mógłby przypadkowo doprowadzić do katastrofy samolotu pasażerskiego. Na razie tylko uśmiechnęłam się wymijająco.

– Ale, swoją drogą, powinnaś zrobić coś szalonego – stwierdził Ben, przewracając mięso na drugą stronę. – Rozerwij się trochę.

Ben był artystą ceramikiem. Z jego bezkształtnych kubków w kolorach ziemi gorące płyny wylewały się na koszule wszystkich, którzy zdecydowali się ich użyć, a jednak ludzie

wciąż je kupowali, nie zwracając uwagi na oparzenia, bo te naczynia wyrażały jakąś fundamentalną prawdę o istocie natury ludzkiej. Ben uważał mnie za sztywnego, scjencyznego robota wymagającego przeszkolenia we wszystkich kwestiach nieopisanych w książkach.

– Byle nie za bardzo. Może po prostu popłynąć w rejs? – zasugerowała Madge. Miała na zębach lekkie przebarwienia od wina. Mitchell spojrzał w moją stronę, a ja potrząsnęłam głową, milcząco zapewniając go, że nigdy nie skazemy się na pływające więzienie ani na potyczki z rotawirusem i piratami, nie wspominając o balach przebierańców. Skinął głową. Rozumieliśmy się bez słów.

– Nie bój się planować z rozmachem – powiedział Ben, gestykulując dwuzębnym widelcem.

– A ja polecam ci metodę małych kroczków – zaoponowała Madge. – Zbyt wiele widziałam przetrąconych życiorysów.

Moja siostra do tezy, że podążanie drogą bezprawia jest czymś, co może się zdarzyć dosłownie każdemu, przekonała tyle ław przysięgłych, że sama zaczęła w to wierzyć.

– Och, daj spokój, Marjorie – powiedział Ben z normalną w długoletnim związku wrogością. – Jakby kiedykolwiek był czas na to, żeby wrzucić na luz.

Otworzyłam usta, by zwierzyć się ze swojej fantazji dotyczącej tarzania się w pieniądzach, ale zamknęłam je z powrotem. To nie miało nic wspólnego z małymi kroczkami. Madge podniosła ze stołu dwulitrową butelkę korzennego piwa i zaczęła nią wstrząsać.

– Widzisz? Widzisz, co robię? – Nawet Ethan i Aidan podnieśli wzrok znad mrówek. – To korzenne piwo to Becky. – Plastikową butelkę wypełniała brązowa piana. – A ty proponujesz, żeby odkręcić nakrętkę!

– Nie! – krzyknęłam, ale Madge była szybsza. Korzenne piwo trysnęło na patio istnym gejzerem, pryskając lepкими kroplami na nas wszystkich i splukując resztę mrówek.

– Więc lepiej zostawmy nakrętkę na miejscu – zamknęła temat Madge, zadyszana od tego całego potrząsania. Starłam korzenne piwo z twarzy i przytaknęłam. Prezentacja mojej siostry zrównywała ją z trzecioklasistami, ale miała rację. Widziałam wystarczająco dużo wyświetlanych późnym wieczorem dramatów dokumentalnych, by wiedzieć, że na początku tych pięćdziesięciminutowych historii katastrof jest zawsze kobieta, która „miała w życiu wszystko”. Właśnie stałam się taką kobietą.



W niektórych miasteczkach nic się nie ukryje. Zwłaszcza w tych, w których wracając na lekkim rauszu do domu, wpada się na co najmniej troje znajomych.

Samotnej matce, jaką jest Rebecca, może to przysporzyć kłopotów. Ale to nie nadszarpnięta reputacja jest jej największym zmartwieniem.

Lekarz kierujący kliniką leczenia bezpłodności, w której Rebecca pracuje, najwyraźniej postradał zmysły, a jego szalone pomysły mogą oznaczać koniec firmy. Były chłopak Becky, odnoszący obecnie spektakularne sukcesy, zjawił się w mieście i jakimś cudem został nauczycielem jej dziesięcioletniego syna (który teraz zadaje niezręczne pytania o zakończenie ich związku). I kiedy Rebecca robi, co może, żeby poprowadzić doroczną szkolną zbiórkę żywności, zupełnie przypadkiem pakuje się w podejrzone układy z przestępcami.

Eileen Curtright pokazuje, jak daleko może się posunąć samotna matka, by nie tylko spełnić się w życiu, ale i zasłużyć na miano „perfekcyjnej”. O ile w ogóle musi.

PATRONAT MEDIALNY

STYLOWI.PL

w sprzedaży także



cena 34,90 zł

www.marginesy.com.pl

